



Down Under

AUSTRALIA

Podróż marzeń



PASAPORTE



AGNIESZKA ROGOWA

Down Under. Australia - podróż marzeń

Agnieszka Rogowa

Wydanie pierwsze, Toruń 2010

ISBN: 978-83-61744-06-1

Wszelkie prawa zastrzeżone!

Autor oraz Wydawnictwo dołożyli wszelkich starań, by informacje zawarte w tej publikacji były kompletne, rzetelne i prawdziwe. Autor oraz Wydawnictwo Escape Magazine nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikające z wykorzystania informacji zawartych w publikacji lub użytkowania tej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w publikacji są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Kopiowanie, kserowanie, fotografowanie, nagrywanie, wypożyczanie, powielanie w jakiegokolwiek formie powoduje naruszenie praw autorskich.

Wydawnictwo Escape Magazine

<http://www.EscapeMagazine.pl>

bezpłatny fragment

Spis treści

Wstęp	5
Rozdział 1. Podróż	7
Rozdział 2. Jak nie zginąć w Hong Kongu	11
Rozdział 3. No i wylądowałam	26
Rozdział 4. ZOO	33
Rozdział 5. Australia na gorąco	40
Rozdział 6. College, czyli szkoła	48
Rozdział 7. Barbecue	62
Rozdział 8. Riversfire	69
Rozdział 9. Rain Forest	78
Rozdział 10. Skydiving	92
Rozdział 11. Stradbroke Island	98
Rozdział 12. Igraszki pod palmą	107
Rozdział 13. Sea World	120
Rozdział 14. Bigos i indyjskie ogórki	129
Rozdział 15. Lone Pine	140
Rozdział 16. Nowa Zelandia	147
Rozdział 17. Sztorm - let's twist	216
Rozdział 18. Big City Life	227
Rozdział 19. Tropiki	242
Rozdział 20. Port Douglas	252

Rozdział 21. Fitzroy Island	264
Rozdział 22. Pirat drogowy	276
Rozdział 23. Święta	288
Rozdział 24. Plaże, czyli to, co lubimy najbardziej	296
Rozdział 25. Sylwester 2006 - Sydney	311
Rozdział 26. News	330
Rozdział 27. Australia Day	334
Rozdział 28. Aborygeni	352
Rozdział 29. Pożegnanie tropików	365
Rozdział 30. Sydney	369
Zakończenie	391

Wstęp

Podróżowanie jest jak wielka księga.

Ci, którzy nie podróżują, to tak, jakby czytali tylko jedną stronę.

Przesyłam parę słów z końca świata, z krainy kangurów, koali, pajaków i innych włochatych (mniej lub bardziej) stworzeń; z kraju, w którym ludzie są niesłychanie życzliwi i otwarci, a swoim optymizmem zarażają każdego napotkanego mate; z miejsca gdzie drzewa mają fioletowe liście, śnieg to abstrakcja, a piękne słońce świeci 360 dni w roku. Piszę do Was z AUSTRALII.

Zawsze pasjonowały mnie podróże. I te dalekie i te całkiem bliskie. Wszystkie półki w domu uginają się od przewodników, atlasów i książek. Ściany natomiast ozdobione są fotografiami z różnych zakątków, w których przeżyłam coś miłego. Co roku kolekcja gwałtownie się powiększa, tak więc mam silną motywację, by w przyszłości kupić duży dom. Może być zamek, dlaczego nie.

Jestem jedną z tych osób, które nie mogą usiedzieć w miejscu. Każdy powrót z wakacji potęgował moją chęć opuszczenia kraju na dłużej. Pewnego ranka obudziłam się przekonana, że czas zacząć cieszyć się życiem. Zdałam sobie sprawę, że życie nie musi być szare i monotonne. Jestem ciekawa świata i ludzi. Zastanawiam się jak żyją, co myślą, co jedzą, czy mają takie same problemy i jak postrzegają Polskę. Chciałabym nauczyć się czegoś nowego, poznać i tym samym zrozumieć odmienność, a może nawet ją zaakceptować.

Przewróciłam swoje normalne i uporządkowane życie do góry nogami. Zostawiłam pracę, rodzinę, przyjaciół, radości i problemy. Pamiętam, jak się dziwiono, że mogę tak po prostu to wszystko rzucić. Śmiać mi się chciało, no ale cóż, niektórzy mają ograniczone horyzonty... Czy to coś dziwnego, że człowiek po jakimś czasie się wypala? To przecież normalne. Trzeba szukać czegoś nowego, czegoś, co rozwija, co sprawia, że wstajesz rano z głową pełną nowych

pomysłów, że ci się po prostu chce żyć. No, ale może rzeczywiście ja jestem dziwna... Tyle razy to słyszałam, że pewnie to prawda.

O przydatności języka angielskiego nie muszę zapewniać, wiadomo, w obecnych czasach jest niezbędny. Jeśli chcesz podróżować i nie zginąć w dalekim świecie, musisz posługiwać się tym językiem. Dlatego wybrałam collage w Brisbane. Po dziesięciu tygodniach intensywnej nauki mam dwa tygodnie przerwy i planuje podbić Nową Zelandię. Wrócę na 12 tygodni do Cairns, a potem miesiąc zabawię w Sydney – taki mam plan.

Przygotowania do wyjazdu zajęły mi pół roku. Zbierałam informacje, porównywałam ceny, oferty i opcje. Zasięgałam rady u ludzi, którzy mieli coś wspólnego z Krainą Oz.

16 sierpnia 2006 opuściłam nasz piękny kraj w poszukiwaniu przygody. Jestem przekonana, że wyjazd do Australii to była najlepsza decyzja, jaką podjęłam w życiu. Już pierwszego dnia wiedziałam, że warto było przelecieć te 16 tysięcy kilometrów. Cieszę się, że są ludzie, którzy mnie rozumieją i trzymają za mnie kciuki. Chciałabym też dodać odwagi każdej zagubionej i wystraszonej osobie, która dopiero planuje wyjazd. Bo – jak to mówią – Life is not measured by the number of breaths you take, but by the moments that take your breath away.

Rozdział 17

Sztorm – let's twist

Czwartek, 9 listopada 2006 r.

Nie boję się życia i niewiele jest rzeczy, które mogłyby mnie przerazić. Tak naprawdę, przychodzą mi do głowy tylko dwie: nieodpowiedzialni (czytaj: głupi) ludzie oraz nieokiełznana potęga natury, w tym burze z piorunami. Mają jeden wspólny mianownik - wobec nich jestem bezsilna.

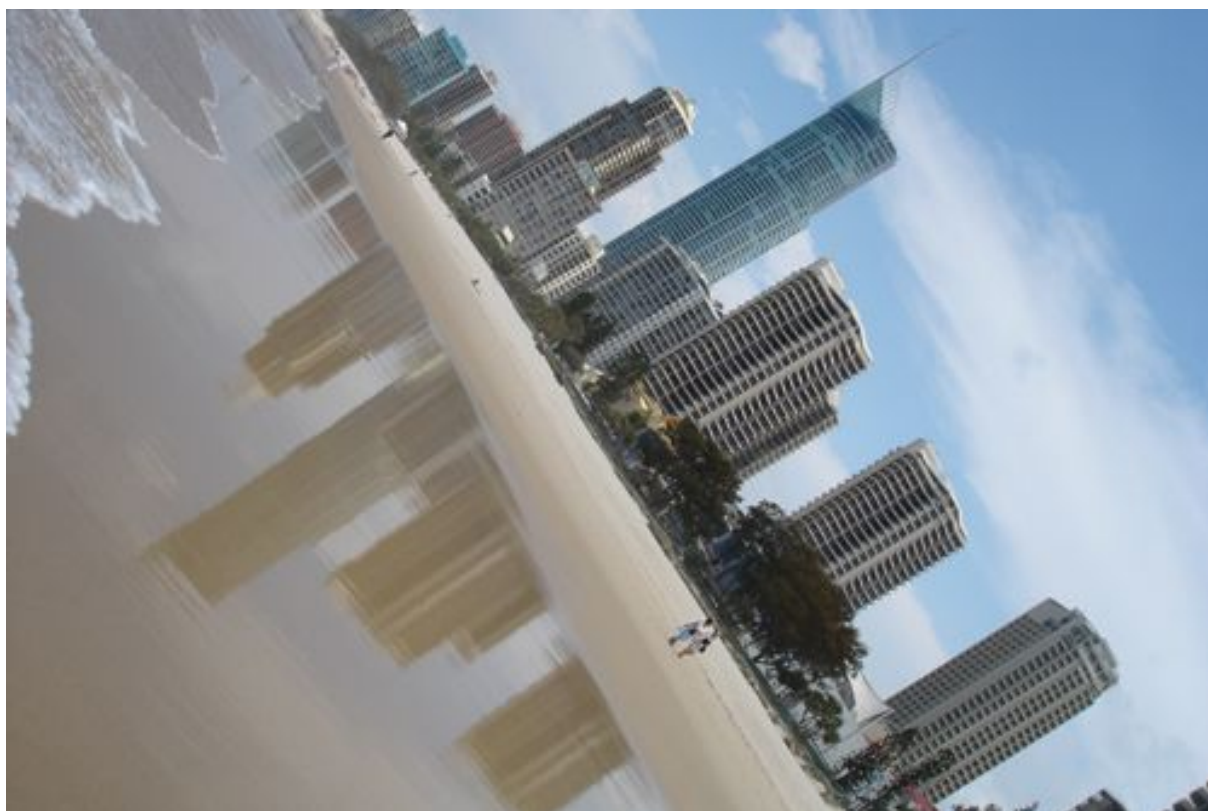
W sobotę wylatywałam do Cairns, dlatego postanowiłam ostatni raz odwiedzić Gold Coast. Kurort dla bogaczy, gdzie królują drapacze chmur i ekskluzywne wille.





Przeciętny Kowalski parkuje przed domem samochód. Mieszkaniec Złotego Wybrzeża auto parkuje na ogródku, a przed domem cumuje łódź, bądź jacht.





Czułam potrzebę przejścia się brzegiem oceanu, po słynnej plaży Surfers Paradise. To był typowy ciepły dzień. Nic nie zapowiadało, że za kilka godzin rozpęta się straszny sztorm.



Słynna nie tylko w Australii plaża Surfers Paradise.



Surfers Paradise.



Jak zwykle uliczki były zatłoczone, kawiarniane ogródki przepelnione, na plaży zostali prawie wyłącznie miłośnicy desek. Wiatr był dość dokuczliwy, strasznie zacinał piaskiem, co skutecznie uniemożliwiało wylegiwanie się na wydmach. Po południu już zaczęło się chmuryć. Nieświadoma niczego spacerowałam dalej. Kiedy wiatr nabrał

siły, pomyślałam, że pewnie zacznie padać, więc czas wracać do domu. Surferzy czuli się prawdopodobnie jak w raju, ale ponad dwumetrowe fale przy brzegu wydały mi się podejrzane.



To niesamowite, jak szybko pogoda potrafi się zmieniać. W ciągu niespełna pół godziny, błękitne bezchmurne niebo przeistoczyło się w szaro-brązową watę cukrową.





Jak tylko znalazłam się w autobusie zaczęło padać. Na początku żałowałam, że nie mam parasola, jednak po kilku minutach doszłam do wniosku, że byłby totalnie bezużyteczny. Nad nami rozciągała się jedna wielka czarna chmura, która wydawała się nie mieć ani początku, ani końca. Opady stawały się coraz bardziej intensywne,

a całe widowisko wzbogaciło się o odgłosy burzy i taniec piorunów. Z sekundy na sekundę pogoda pogarszała się. Moje położenie nie należało do najbezpieczniejszych, ponieważ znajdowałam się właśnie między górami a oceanem w metalowej puszce, która ledwie co trzymała się drogi. Błyskawice o różnych kształtach, łączyły się ze sobą i niemalże otaczały miasto.

Jechaliśmy z zawrotną prędkością 5km/h. Z nieba spadały bryłki lodu i z hukiem uderzały o szyby autobusu, który pod wpływem wichury zaczął się kolebać. Ponieważ siedziałam przy oknie, zastanawiałam się, kiedy pęknie szyba. Oczami wyobraźni widziałam, jak odłamki szkła rozprzestrzeniają się po całym autobusie i kaleczą pasażerów. Momentami nawałnica była tak potężna, że ograniczała widoczność do zera.

Kierowca zatrzymał pojazd, wyłączył silnik, zaczął uspokajać podróżujących, a jednocześnie przeproszał za przerwę w pracy i opóźnienia. Niesamowite, co za kultura. Zostaliśmy uwięzieni w metalowej puszce, która w mojej rozbudowanej wyobraźni, mogła być łakomym kąskiem dla piorunów. Oczywiście musiałam uwiecznić tę sytuację na zdjęciu.





Kierowca informuje pasażerów o przerwie w serwisie.

Jak troszkę się uspokoiło, zobaczyłam uginające się drzewa, latające w powietrzu połamane gałęzie i stojący w poprzek drogi poturbowany samochód. Po 20 minutowej przerwie ruszyliśmy. Bez problemu dotarliśmy do stacji kolejowej, gdzie złapałam pociąg do centrum. Deszcz ustał, ponownie wyszło słońce, a ja wpatrywałam się w okno. Nagle zobaczyłam coś, co mnie naprawdę zdumiało. *Nie!...Tak!... Nie? Tak?*- mówiłam sama do siebie z niedowierzaniem. Wirujący stożek łączący niebo z ziemią. Prawdziwa trąba powietrzna! Twister, jaki widziałam tylko w amerykańskich filmach. Rozglądałam się po przedziale, jaka jest reakcja pozostałych pasażerów. Naprzeciw mnie siedziało dwóch chłopców, jeden z nich zauważył to samo, co ja. Szturchnął swojego kolegę, mówiąc *hej, zobacz!* Tamten spojrział, beznamiętnie powiedział *cool!* i dalej bawił się swoim iPod-em. To przecież takie normalne...

Tak długo nie mogłam uwierzyć, że to, co widzę, jest naprawdę tym, co widzę, że nie zdążyłam zrobić zdjęcia. Tornado zniknęło gdzieś za górami, a ja siedziałam jeszcze przez jakiś czas z aparatem w dłoni. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale gdyby pociąg zatrzymał się w tym momencie na jakiejś stacji, na pewno bym wysiadła. Miałam strasz-

ną ochotę przyrzeć się dokładniej temu żywiołowi, wczuć się w klimat, zobaczyć jak wrywa drzewa z korzeniami, jak unosi samochody itp. Ach, mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja. Oczywiście z bezpiecznej odległości...

Rozdział 24

Plaże, czyli to, co lubimy najbardziej

Środa, 27 grudnia 2006 r.

Cairns to naprawdę piękne miejsce, które ze względu na otaczającą je Wielką Rafę Koralową, stało się magnesem dla turystów z całego świata. Wokół miasta ulokowanych jest kilka uroczych plaż, z palmami, złotym piaskiem - które okupuję JA :)



Mówią o nich *beautiful and unspoiled*, a rozciągnięte są na prawie 30 km wzdłuż Morza Koralowego. Wszystkie „naturalne solaria” są podobne, ale inne zarazem. W niektórych miejscach natknąć się możesz na luksusowe hotele, z widokami jak z obrazka, a czasami napo-

tkasz małe wioski, gdzie każda ma swój własny niepowtarzalny charakter.











Zawsze zadziwia mnie fakt, że bez problemu znajdziesz dla siebie kawałek przestrzeni, nie leżysz nikomu na głowie. Wszyscy wiemy, jak wyglądają plaże nad Bałtykiem w okresie letnim, jeśli jest ładna pogoda. Ludzi jak stoniek.

Pojawia się wtedy następne pytanie: Gdzie są ci wszyscy turyści? Wieczorami puby i kawiarenki pękają w szwach, a w ciągu dnia plaże są opustoszałe. Dla mnie jest to zagadka. Nie mogę żyć bez widoku morza i szumu fal, więc z przyjemnością przetestowałam pobliskie wybrzeża.



10 minut samochodem na północ od Cairns jest Machans Beach – miejsce, gdzie spotkać można zazwyczaj miejscowych wędkarzy. Holloways Beach to świetne miejsce na długi spacer wzdłuż oceanu.

W pobliżu jest Yorkeys Knob i Kewarra Beach otoczona przez tropikalne lasy deszczowe. Miejsce to słynie z obecności ptaków i motyli. Żeby poleżeć na piasku albo poskakać w falach, możesz udać się też do Ellis Beach - w połowie drogi do Port Douglas. Jedną z fajniejszych to Palm Cove położoną 30 minut od lotniska, a tuż przed nią znajduje się moja ulubiona - urokliwa Trinity Beach.







Na każdą z tych plaż możesz bez problemu dostać się autobusem, ale jeśli brak ci sił, możesz po prostu rozłożyć ręcznik nad wielkim basenem (zwanym laguną) przy promenadzie. Jest to najpopularniejsze miejsce w Cairns, niezależnie od pory dnia czy nocy, jest tam tłoczno.



Nie będę przekonywać, że każde z tych miejsc jest bajkowe. Nie powiem też, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. Nie wspomnę o tych palmach, słońcu, błękitnej wodzie czy gorącym piasku. Wystarczy obejrzyć zdjęcia.











Rozdział 28

Aborygeni

Poniedziałek, 29 stycznia 2007 r.

Proszę nie robić zdjęć, nie dotykać eksponatów (i najlepiej jeszcze nie oddychać) - tymi sympatycznymi słowami witano nas zawsze w muzeum. Czasem jeszcze zmuszano do zakładania bamboszy, żeby nie zniszczyć parkietu. Ile się człowiek musiał namęczyć, żeby pstryknąć potajemnie fotkę na tle ciekawego obiektu. Zazwyczaj nikt nie był zainteresowany, aby zwiedzający wyszedł z nowymi doświadczeniami czy wiedzą.

Dzisiaj doświadczyłam zupełnie innego wymiaru obcowania z historią. Nie dość, że miałam osobistego zwariowanego przewodnika, to jeszcze pozwalał na dotykanie wystawy i fotografowanie. Niezwykłe, prawda? Co więcej, sam zachęcał do podnoszenia eksponatów, żeby lepiej zrozumieć, jak działają. Tak więc dźwigałam pierwsze żelazko na ropę, zajrzałam do gabinetu dentystycznego, gdzie odkryłam masakryczne przyrządy do wyrywania i borowania zębów, oglądałam zdjęcia 7. metrowego węża pożerającego kangura (w całości!!!), poznałam historię bumerangu i innych aborygeńskich narzędzi do polowania. Spędziłam tam czas miło i owocnie.



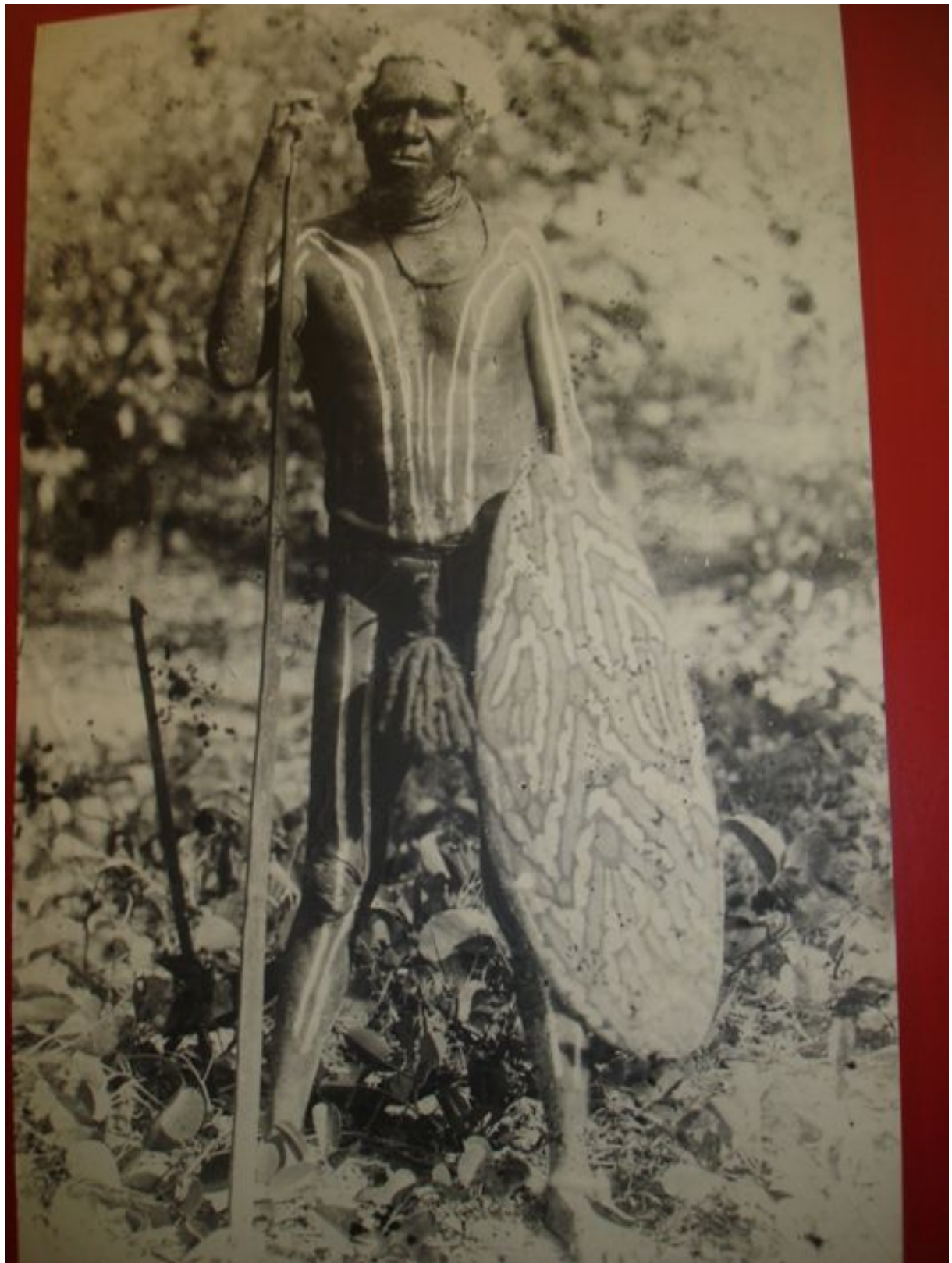
Filizanka z nakładką ochronną na wąsy.



Szklanka do określania wieku jajka.



Wielka ryba.

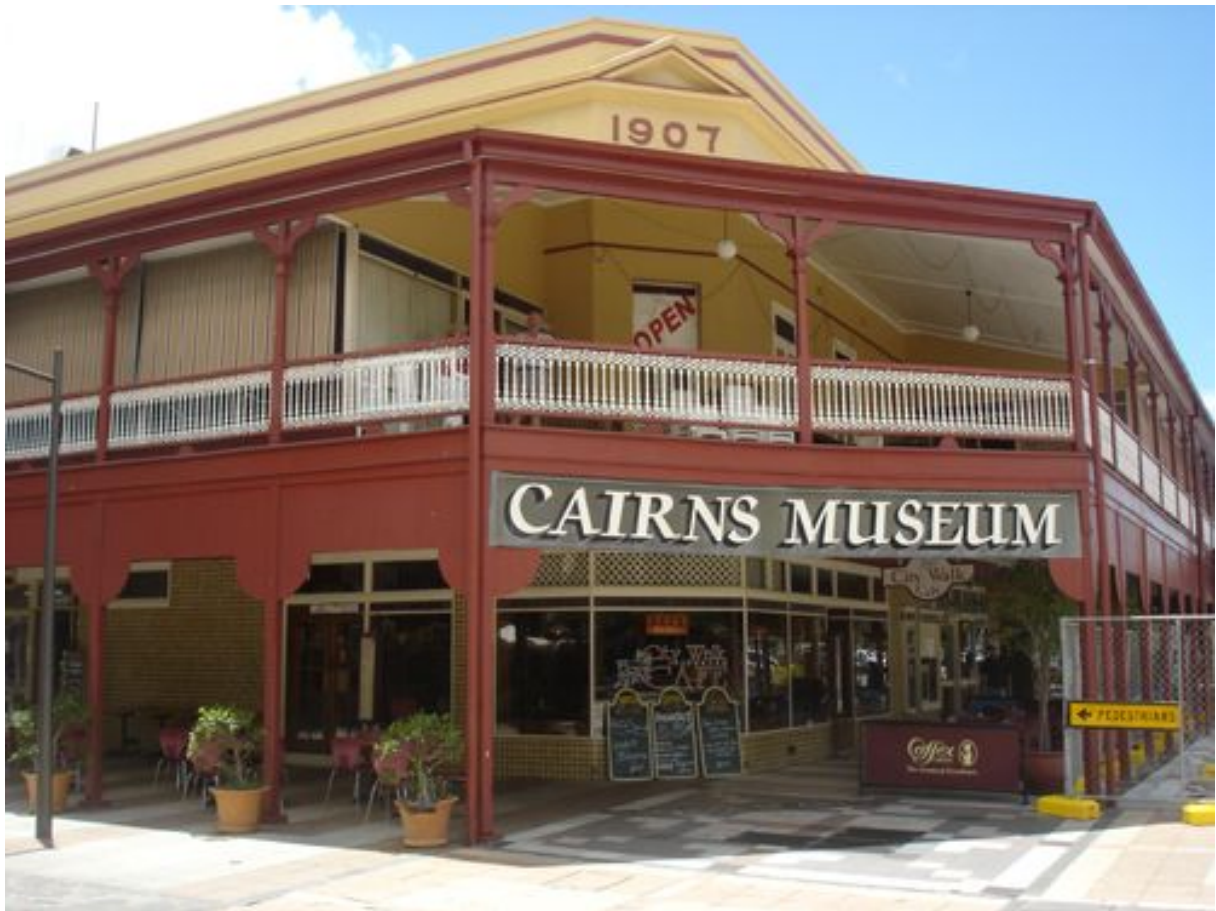


Wielki wojownik.



Narzędzia do wojowania (u góry) i borowania (na dole).





Skoro mowa o historii, nie sposób nie nawiązać do rdzennych mieszkańców. Aborygeni, bo oczywiście o nich mowa, jeszcze teraz żyją w świecie przesądów i zabobonów, np. nie pozwalają na robienie zdjęć, bo uważają, że w ten sposób fotografujący może zabrać im duszę. Mają własną religię (wierzą w naturę i ziemię) i odrębny język (dziesiątki odmian i slangów). Na ogół posługują się bardzo okrojonym zasobem słownictwa angielskiego. Często chodzą bosy, nie noszą wyrobów ze stali, tylko ozdoby z kości.



Tak jak w Brisbane widziałam tylko jednego Aborygena (grał na didgeridoo (taki flet gigant) na Queenstreet), to w Cairns mieszka ich bardzo dużo. Niestety nie cieszą się dobrą opinią. Zazwyczaj ubrani skromnie, wręcz ubogo i według mnie nie potrafią odnaleźć się w tym *nowym* świecie. Politycy wymyślają kolejne programy ulepszenia życia rdzennej ludności, nawet dość drastyczne, kiedy ramach polityki przymusowej asymilacji (obecnie całkowicie zaniechanej) dziesiątki tysięcy dzieci zabrano siłą z ich rodzin. Większość pomysłów kończy się fiaskiem. Aborygeńskie dzieci nadal niechętnie wysyłane są do szkół. Starsi ludzie często mają problemy z alkoholem, młodzież oddaje się wączaniu kleju i benzyny. Ze względu na swoją reputację, znaczna część pozostaje bez pracy, a dotacje od państwa

wydają na drinki w pubach. Z jednej strony jest to wina braku dobrej woli Aborygenów, a z drugiej widać nieudolność australijskiego rządu w radzeniu sobie z tym problemem.

Jest taki jeden nieciekawy bar w Cairns, gdzie dniami i nocami prze-
siadują te same twarze. Obiegowa opinia głosi, że bywalcy tego baru
bywają niebezpieczni i agresywni, jednak mnie nigdy nie spotkało
nic oprócz uśmiechu. Jak zawsze prawda leży pośrodku i nie należy
poddawać się stereotypom.

Jednakże moja współlokatorka ma odmienne zdanie. Postanowiła
kupić rower. Wybrała najtańszy (30AUD), ale i najbardziej obskur-
ny. Zdecydowanie, były to 2-kółka po przejściach, ale jeszcze kulał
się jakoś po ulicy. Tego samego dnia zaparkowałyśmy nasze rakiety
blisko pubu Aborygenów. Wieczorem, ku naszemu zdziwieniu, na
parkingu został tylko jeden (mój kochany Jaguar). Ochrona wytłu-
maczyła nam, że często kiedy „biesiadnicy” opuszczają bar, biorą
pierwszy lepszy sprzęt, tylko po to, aby dojechać do domu, a później
porzucają go gdzieś na trasie. Dla porównania dodam, że kiedy
mieszkałam w Brisbane, znajomy zostawił na dwie godziny telefon
komórkowy w Botanic Garden. Kiedy zrezygnowany postanowił
sprawdzić, czy aby cudem jeszcze tam był, okazało się, że leżał nie-
tknięty.



Zostały tylko koła.



Didgeriadoo to podobno jeden z najstarszych instrumentów muzycznych świata.

Można zapytać, czy w takim razie jest coś wartościowego w ich kulturze? Oczywiście! Warto zwrócić uwagę chociażby na ręcznie wytwarzaną sztukę, słynny bumerang czy didgeridoo. Stosowana przez Aborygenów technika malowania kropkami, ściśle związana ze sferą wierzeń i magii, znalazła uznanie na całym świecie.

Na północ od Cairns ulokowany jest skansen Tjapukai, gdzie można zapoznać się z życiem i kulturą Aborygenów. Organizowane są dzienne i nocne show, z tańcami, rzucaniem bumerangiem i opowieściami o początkach świata. Moim zdaniem nie ma wiele wspólnego z prawdziwym życiem tych ludzi, ma raczej typowo komercyjny charakter. Podaję adres strony, gdzie znajdziecie więcej informacji: <http://www.tjapukai.com.au>



Trójwymiarowe, dynamiczne obrazy stworzone techniką *kropek*.

Rozdział 30

Sydney

Niedziela, 25 lutego 2007 r.

Kiedy z okna samolotu zobaczyłam niekończące się morze dachówek, dopiero zdałam sobie sprawę, jak rozległe jest to miasto. Sydney - bajkowe miejsce z magiczną atmosferą, które bezapelacyjnie zdobyło moje serce. Zasłużenie uważane za jedno z najpiękniejszych na świecie.

W centrum dumnie prężą się drapacze chmur, między którymi wystają piękne ogrody, gigantyczne i najdroższe domy handlowe (Queen Victoria Markets Building). Wśród tego wszystkiego można natknąć się na zabieganych biznesmenów, podekscytowanych turystów i zawsze pogodnych sydneyczyków.

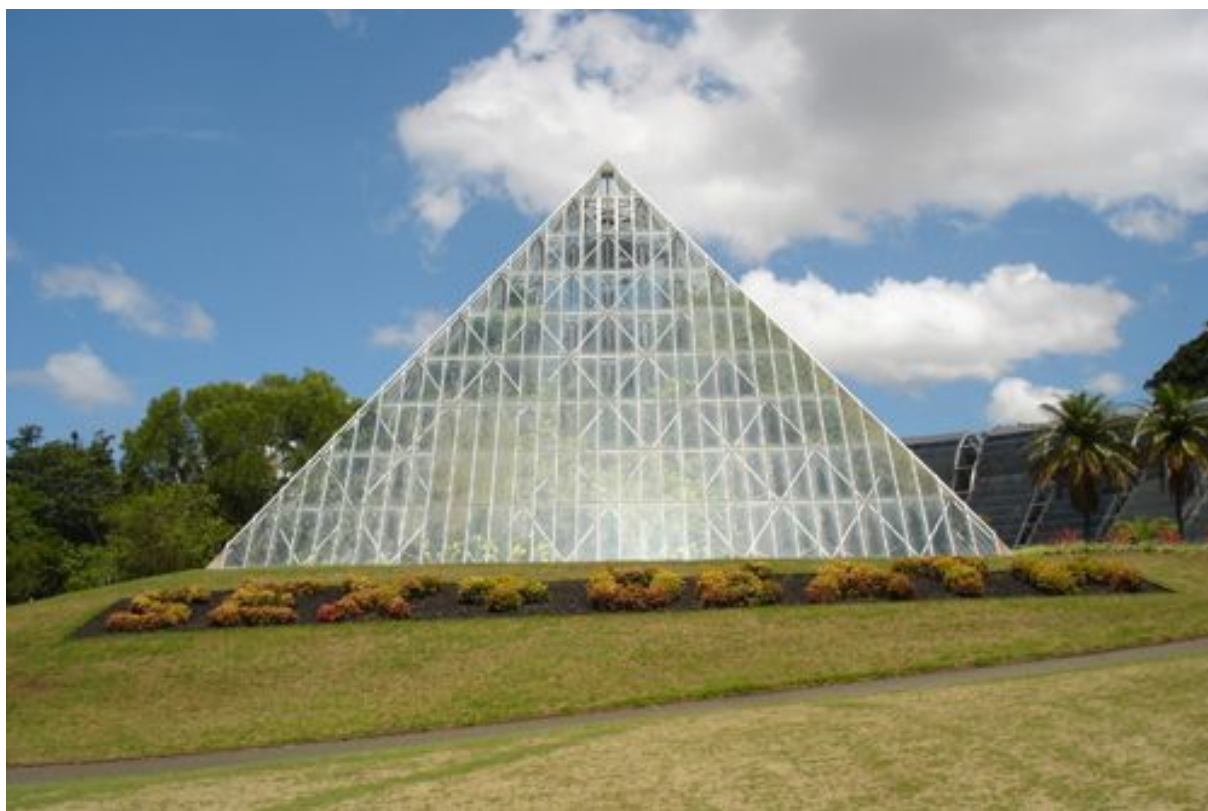












Kosmopolityczne miasto, które nigdy nie zasypia. Wystarczy przejść się dzielnicami Chinatown (na początku lutego rozpoczął się chiński Nowy Rok – Rok Świni), Kings Cross, Darlinghurst czy Pitt i George Street, aby znaleźć tysiące tętniących życiem kawiarni, pubów, restauracji czy sklepików. Idealne miejsce na relaks to również Darling

Harbour z Chinese Garden, Sydney Aquarium, kinem IMAX, kilku-poziomowymi dyskotekami i many, many, more...



W Darling Harbour znajduje się orientalny Chinese Garden. Bajkowy ogród na tle wieżowców naprawdę robi wrażenie. Aby stworzyć doskonały balans wykorzystano cztery główne elementy: wodę, rośliny, kamienie i architekturę.

Dodatkową atrakcją jest fakt, iż za niewielką opłatą można przebrać się w tradycyjne chińskie stroje i fotografować swoje nowe oblicze bez limitu.



Znalazłam niedrogi i całkiem przytulny hostel na Oxford Street, ulicy ciągnącej się bez końca, z dzikim życiem nocnym, szeregiem sklepów, kawiarni i kin. Hostel mieści się w dzielnicy Woollahra przy gigantycznym ogrodzie Centennial Park w niedalekiej odległości od Bondi Beach. Lokalizacja bardzo dobra, zwłaszcza że do pracy mam 5 minut spacerkiem. A w pobliżu jest też Kings Cross znane jako centrum frywolnych rozrywek (dzika kombinacja dzielnicy prostytutek i ekskluzywnych restauracji).



Moja praca polega m.in. na codziennym przeglądaniu prasy.

Żeby było śmiesznie, okazało się, że mój tymczasowy dom w 70% jest zamieszkały przez polskich studentów. Odkryłam to już pierwszego dnia, kiedy urządzałam swój nowy pokój i zza drzwi usłyszałam wiązaną rodzimych przekleństw. Byłam pewna, że *jestem w domu*. Nie licząc sporadycznych rozmów przez *Skype*, nie używałam języka polskiego od wielu miesięcy, dlatego moja pierwsza rozmowa z Polakiem była naprawdę dziwna. Trudno mi było się wysłowić, on do mnie *rekin*, ja do niego *shark*. Czułam się zażenowana...

Warto podkreślić, że Polacy na obczyźnie są ambitni i pracowici, szukają tego, czego ich własny kraj im poskąpił – prawa do dobrej pracy i godnego życia. Jaka to wielka niesprawiedliwość, że młodych Australijczyków stać na własne mieszkanie, samochód, rozwijanie pasji i zainteresowań. Są niezależni i bez obawy patrzą w przyszłość, bo praca zawsze się znajdzie. Dlaczego nasz kraj nie daje nam perspektyw? Miałam okazję spotkać się z Polonią, która rewelacyjnie odnalazła się w tym kraju. Australia docenia specjalistów, osoby zaangażowane i chętne do pracy. Ludzie w moim wieku mogli pochwalić się ustabilizowaną pozycją, własną firmą czy domem z basenem.

Jednogłośnie twierdząc, że mimo tęsknoty za bliskimi, do Polski już nie wrócą.



Dozorca, który pilnował porządku.



Tanie piwo kontra wino z kartonu.

Nie jestem w stanie opisać wszystkich atrakcji, wspomnę tylko o czterech ikonach Sydney:

1. Opera House – moje oczko w głowie, jak typowa kobieta, każdego dnia inna, z każdej strony odkrywa coś nowego. Nigdy nie mogłam przejść obok niej obojętnie! Budowla o tak niezwykłej konstrukcji, że potrafiłam zrobić milion zdjęć jednego dnia, o świcie, o zmierzchu, nocą. Pewnie dla postronnej osoby wszystkie mogłoby się wydawać takie same, dla mnie każde jest inne i wyjątkowe.



2. Circular Quay to miejsce, gdzie cumują ekskluzywne międzynarodowe statki. Miałam szczęście zobaczyć na własne oczy największy i najbardziej luksusowy statek pasażerski świata - Queen Mary 2 i jego mniejszą, aczkolwiek równie imponującą siostrę Queen Elizabeth 2. Widok niesamowity, potęga i wymiary tych gigantów dosłownie powalają.







3. Harbour Bridge, może i rzeczywiście wygląda jak wieszak na ubrania, ale przyznaje, tak dostojnego i magicznego wieszaka nigdy wcześniej nie widziałam, w żadnej szafie... Kiedy wieczorem oświetla go setka światełek, widok ten wywołuje przyjem-

ny dreszczyk. Harbour Bridge jest jednym z największych mostów łukowych na świecie, ma rozpiętość prawie 500 metrów.







4. Bondi Beach, najśłynniejsza plaża w Sydney, gdzie surferzy wyczyniają cuda na deskach, a sensacje wzbudzają nie tylko kobiety pływające i opalające się topless, ale również pokazujące się od czasu do czasu top gwiazdy jak np. Paris Hilton.



Na imprezach w Bondi Hotel do samego rana bawią się ludzie po-
przebierani w wymyślne i zabawne stroje policjantów, superma-
nów, pokojówek, księżniczek itp.

Po jednej z takich imprez poszliśmy na plażę: ja, koleżanka Polka
i kolega Anglik. Znaleźliśmy na plaży Aussie boya, który zdecydo-
wanie powinien zakończyć picie kilka kieliszków wcześniej. Zaczę-
ła się rozmowa:

On: *Co robicie?*

My: *No... patrzymy na Ciebie.*

On: *Skąd jesteście?*

My: *Z Bułgarii.*

On: *Jak macie na imię?* –zapytał o damską część grupy.

My: *To jest numer 1, a to jest numer 2* – odpowiedział nasz
kolega.

On: *??? nie wierzę* – wymamrotał młody.

My: *Nie wiesz, że w Bułgarii kobiety nie mają imion, tylko
numery* – przekonywał Anglik.

On: *Tak? To powiedz coś po bułgarsku!*

Wtedy nasz uroczy kolega popisał się znajomością paru sztan-
darowych polskich przekleństw, których nauczyli go chłopacy
z hostelu, a zaraz po nich, z pięknym brytyjskim akcentem do-
dał: *poniedziałek, dobrze, Gdańsk!*

On: *Wow! A co to znaczy?*

My: *No, to znaczy Hello, jak się masz!*

Sytuacja była tak komiczna, że obie usiadliśmy na ziemi nie mo-
gąc powstrzymać ataku śmiechu. Teraz wiecie, z czym będzie mi
się kojarzyła słynna Bondi Beach.

Pierwszy kontakt z falami przypomni ł mi nasz Bałtyk. Woda r wnie zimna, ale zdecydowanie bardziej przejrzysta. Wysokie i potężne fale s  jak magnes dla szalonych surfer w i udr k  dla zapracowanych ratownik w.







Sydney to piękne i wyjątkowe miasto. Miejsce, które ma duszę. Jestem pewna, że nie ma drugiego takiego na świecie. Zawdzięczam mu wiele wspaniałych emocji, wrażeń, wzruszeń i zachwyków nie do opisania. Gdzieś głęboko w duszy marzę, aby tu jeszcze wrócić. Może następnym razem uda się zobaczyć jeszcze więcej.

To już ostatnie słowa z kraju, gdzie kangurów żyje dwa razy więcej niż ludzi. Z kraju, który zrobił na mnie ogromne wrażenie, który mnie oczarował i który pokochałam.

Teraz idę na plażę skorzystać z ostatnich promieni słońca, bo w Polsce zima.

Pełna wersja wraz z paczką tapet (zdjęcia z książki):

<http://www.escapemagazine.pl/369666-down-under>